Nr. 35. Lwów dnia 28. Września 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. —kwartalnie 1 tal. 8 sgr. we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr. Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnie J. Wilda i A. Nowoleckiego, w Poznaniu księgarnia Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

Do naszych Czytelników!

Z numerem dzisiejszym zawieszamy dalsze wydawnictwo Świtu.

Pismo literackie w Galicyi nie jest przedsiębiorstwem finansowem, ale poświęceniem osoby i majątku.

Spełnialiśmy je aż do kresu własnej możności.

Rzucając okiem na krótki nasz żywot, sądzimy, że dotknęliśmy w nim prawie każdej żywotnej kwestyi z tego zakresu, któryśmy dla pisma wybrali. Potrzeba tylko sądzić nie z tytułów, ale z całej treści pojedyńczych rubryk.

Od dwóch spraw byliśmy jednak zawsze dalecy. **Nie szerzyliśmy entuzyazmu dla nauk pozytywnych**, bo nie uważamy ich rezultatów za tak już pewne, aby z nich uczynić wiarę społeczeństwa, nieprzygotowanego umiejętnie a powodującego się pierwszemi wrażeniami. Wiele też kwestyi przez tę szkołę podnoszonych uważamy za nazbyt fizyologiczne, ażeby niemi zajmować umysły wszystkich.

Z drugiej strony nie podnosiliśmy także spraw ekonomicznych, bo chodziło nam o pismo ściśle literackie, a literatura ożeniona z ekonomią bywa małżeństwem źle dobranem.

Pism zresztą o programie **Świtu** mnóstwo z dobrem powodzeniem wychodzi za granicą.

Kończymy, przesyłając tym, co po nas przyjdą, serdeczne: „**Szczęść Boże!**“

Lwów, d. 28 Września 1872.

Wydawnictwo **Świtu.**

JARMARKI.

III.

Co 2 lub trzy tygodnie jest u nas w każdem miasteczku jarmark. Na nich zaspokaja lud wszystkie swoje potrzeby, to jest: do południa sprzedaje lub kupuje artykuły do życia, załatwia interesa w urzędach, po południu pije—a wśród tego często gęsto kupi obrazek lub jaką książkę w budzie księgarskiej. Ci jarmarczni księgarze istnieją wszędzie, utrzymują się — a to jest dowodem po pierwsze: że handel ten idzie, że lud nawet w dzisiejszym stanie swoim jest dosyć znacznym konsumentem drukowanych rzeczy — a powtóre: że jedynem korytem, którem drukowane słowo do ludu płynie, jedynem źródłem, z którego lud przyzwyczajony jest czerpać to słowo są budy księgarskie po jarmarkach. To jest faktem, a zatem liczyć się z nim należy, a raczej należy skorzystać z tego wybornego zwyczaju.

Cóż te budy ludowi dostarczają? zkąd się one w druki zaopatrują? Rozglądałem się w takich budach w Mogile, w Nowym Targu, w Tarnopolu, w Limanowy, w Gorlicach itd.; wszędzie jedno i to samo. Druki święte i druki świeckie. Pierwsze są stekiem bredni, zabobonów, kłamstw, fanatycznych podszczuwań czasami, rzadko przydarzy się jakaś niepofałszona pieśń czy psalm Kochanowskiego lub Karpińskiego — zresztą same rzeczy, które są świętokradztwem w obec pojęcia religii — a na wszystkiem aprobaty biskupie—chyba pofałszowane.

Świeckie zaś druki są również stekiem bredni, ohydne, plugawe, potwornym pisane językiem, bajdy i wierszydła, które są świętokradztwem w obec pojęcia moralności, a z życiem i potrzebami ludu żadnego nie mają związku. Pisz z Bochni, jakiś drugi z Wadowic i jakiś trzeci z Biały, czy z Kęt zaopatrują całą Galicyę w taką cuchnącą bibułę.

Otóż jeżeli chcemy, żeby lud czytał, a czytał rzeczy zdrowe, pożywne, sympatyczne dla niego, a przez to coraz więcej uczuwał potrzebę światła i garnął się do niego— to dajmyż mu taki pokarm, dostarczmy go tam, gdzie on sam po niego przychodzi.

W dzień jarmarku nigdzie nie ma szkoły, nauczyciel jest wolny i szkoła pusta. W szkole więc podczas jarmarku może być czytelnia, mogą leżeć gazety i książki. Od jarmarku do jarmarku powinien być termin do wypożyczania i oddawania książek.

Budy jarmarczne należy zaopatrywać w dobre druki. Dla księgarzy z większych miast rzecz to nazbyt trudna, ale na miejscu zupełnie łatwa. Niechaj rada powiatowa lub gminna zakupi pewną ilość książek — za 25 złr. wystarczy na cały rok – niechaj poleci komuś z ramienia swego dawać je w komis jarmarcznym księgarzom, co jarmark robić z nimi obrachunek — oto i cała sprawa. A jeżeli gdzie nie ma takiej budy, to ją urządzić, otwierać na każdy jarmark, a z czasem mogą się z tego wytworzyć stałe ludowe księgarnie. w każdem miasteczku. W nich powinny być i obrazki i książki szkolne i prenumerata na wszystkie pisma ludowe, a zresztą nie trudno je zaopatrzyć: dosyć wymienić książki wydawnictwa ks. Bażyńskiego w Poznaniu, Młockiego we Lwowie, Nowoleckiego w Krakowie, a Warszawa sama jedna nawet wszystkiego co potrzeba dostarczyć jest w stanie. Takie księgarnie miasteczkowe stałyby się zwolna i pośrednikami dla ukształceńszych warstw tak w dostawie książek, jak i gazet.

Zdarza się, że sejm lub wydział krajowy dają od czasu do czasu zapomogi na wydawnictwa ludowe. Jest to chybiona pomoc, lud z niej nie korzysta—drukują dla niego ale mu tych druków nie podają. Niechaj sejm lub wydział wyznaczy raz, jeden raz na zawsze, fundusz na postąpienie z nim jak wyżej wskazano, a fundusz ten będzie wieczystym, będzie się ciągle wracał, odnawiał, nawet się procentować będzie — i ciągle z niego budy jarmarczne w nowy zapas mogą być zaopatrywane.

Tego samego postępowania winny się jąć towarzystwa oświaty, filie ich powiatowe. Ale gdzież one są? gdzież jest centralny Zarząd, któremu ongi ks. Adam Sapieha miał przewodniczyć? Czy zrobiono co? czy postanowiono bodaj jaką praktyczną myśl? A przecież wszystko co tu powiedziano można dokonać b e z o f i a r, tylko trochę dobrej woli i wytrwałości. A jeżeliby się wskazane tu postępowanie wydawało komuś niepraktycznem, niechaj powie w czem, niech zrobi zarzut, niech podda coś lepszego i ł a t w i e j s z e g o.

Jeszcze jedno pytanie w tych sprawach bywa podnoszone: czy ludowi książki dawać za darmo, czy tylko sprzedawać? Najlepiej zdaje się byłoby, żeby każdy robił jak uważa, jeden niech daje, drugi niech sprzedaje — d o t ą d b o w i e m a n i n i k t n i e d a j e, a n i n i k t n i e s p r z e d a j e.

Dawać można dzieciom w nagrodę, — sprzedawać trzeba ale t a n i o i t a m, g d z i e l u d k u p u j e — a nadto trzeba p o ż y c z a ć, każdemu kto chce, r o z d a w a ć n a p o ż y c z a n i e ale ściśle o d b i o r u pilnować, żeby wiedziano, że te rzeczy mają wartość i mają właścicieli, którzy o nie dbają. Takie postępowanie rozstrzyga zdaje mi się wszelkie skrupuły. Czyż znajdzie się ktoś, kto zechce praktykować podane tu sposoby? Niechajże da znać o rezultatach — dla przykładu i zachęty.

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ,

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Adam nie dał sobie dwa razy powtarzać zaproszenia. Usiadł między paniami na przodzie loży. Był odurzony, upojony względami Ewy. Patrzał na scenę a widział tylko własne myśli roztańczone, rozkołysane, śpiew i muzyka były kołyską dla jego duszy. Naraz uczuł na swojej dłoni ciepłe dotknięcie ręki Ewy i uścisk. Wszystkie pulsa zatentniły w nim, twarze osób siedzących naprzeciw niego majaczyły mu przed oczami i obracały się kołem, zdawało mu się, że ziemię z pod nóg utracił i leci gdzieś daleko z tym ciepłym uściskiem jej ręki, zakrytej szalem. Tajemniczość uścisku nadawała mu czarującą siłę; tym uściskiem porozumieli się i powiedzieli sobie wszystko. Wrażenie tej chwili silnie odbiło się na twarzy Adama, zdawało mu się, że Zygmunt, który w tej chwili surowe, ponure spojrzenie rzucił do loży, domyślił się wszystkiego, że dojrzał przez deskę loży ten ich uścisk i mimowoli cofnął rękę. Długiego trzeba było czasu zanim ochłonął i przyszedł do siebie, zanim odważył się spojrzeć na Ewę.

Ewa była spokojna, ale w oczach, które zwróciła na niego, widać było rozmarzenie. Nie chcąc by ktoś dostrzegł tę niemą ich oczów rozmowę rozpoczęła mówić z Adamem.

— Uważasz pan — rzekła — tych dwóch jegomościów naprzeciwko nas; w obec obrzydliwych zalotnych spojrzeń tych panów, zdaje mi się, że jestem Zuzanną.

Adam spojrzał naprzeciwko i zobaczył dwóch jakichś panów lornetujących zawzięcie Ewę. Jeden z nich łysy, w złotych okularach, z grubemi wargami wyrzuconemi na wierzch i trzema podbródkami fałdującemi się jakby gruby szal pod szyją, z oczami na wierzch wysadzonemi, przypominał bardzo karykatury psich fizyognomii, a w szczególności spasionego buldoka. Drugi starszy znacznie, ale odmłodzony jasnoblond peruką, miał twarz podobną do zmiętej starej bibuły, na której oczy czerniły się jak dwie plamy atramentu. Starannie ogolony i balowo ubrany w biały krawat i stojące kołnierze, trzymał się prosto, sztywnie, z widoczną pretensyą podobania się i udawania młodości, z którą się już dawno rozstał.

Obaj ci panowie lornetowali co chwila Ewę i od czasu do czasu nachylali się ku sobie udzielając sobie uwag jakichś, które jak się można było domyśleć tyczyły się obserwowanej. Adam posłał im groźne, surowe spojrzenie, na które jednak zdawali się nie zwracać uwagi i dalej robili swoje obserwacye.

— Bawią mnie te oryginały — rzekła Ewa. — Jeden z nich widocznie pozuje na Don Juana; boję się o siebie — dodała z wesołym śmiechem i przyłożywszy lornetkę do oczów skierowała ją do loży starców.

— A wiesz pan — rzekła po chwili tym samym tonem żartobliwym, lekkim — że w istocie niebezpiecznie

jest patrzeć na tych panów. Szczególniej jeden z nich, ten w peruce ma coś, co pociąga serce kobiece. Spojrzyj pan na jego palce jakiej wielkości prześliczne dyamenty błyszczą w jego pierścieniach. Spojrzenia tych dyamentów są kuszące. Pan wiesz, że ja mam słabość do dyamentów. I mam przeczucie, że ich dużo mieć będę. Słowa te niemile uderzyły Adama, powiały jak zimny, deszczowy wiatr na jego duszę.

— Biedny! — rzekła po cichu Stasia z westchnieniem.

Adam zmięszał się tem westchnieniem Stasi, zdawało mu się, że przeczytała w tej chwili duszę jego i lituje się nad nim. Spojrzał na nią zdziwiony; ale przekonał się, że Stasia nie myślała o nim w tej chwili, zajęta była sceną, a westchnienie odnosiło się do Rigoletta, który jęczał po stracie córki. Adam podziwiał to dziecinne prawie współczucie Stasi dla aktora i zazdrościł jej tej młodzieńczości uczucia i fantazyi. On dawniej był takim.

Po skończeniu aktu stary major wrócił do loży. Adam wstał robiąc mu miejsce i niezadługo wyszedł na papierosa do bufetu. Zastał tam owych dwóch jegomościów, którzy z takiem zajęciem lornetowali Ewę. Jeden z nich, ów buldok, zajadał ciasta, a drugi, przezwany przez Ewę Don Juanem rozmawiał na boku z jakimś niepokaźnym człowiekiem wyglądającym z miny na przebranego żydka. Adam słyszał z ich rozmowy prowadzonej po niemiecku te słowa:

— Dowiesz się zkąd, gdzie mieszka i czy panna lub wdowa, rozumiesz? Pamiętaj, trzecia loża od sceny.

Adama zaintrygowały te słowa. Widocznie rozmowa tyczyła się Ewy, która właśnie siedziała w trzeciej loży od sceny. Gniewało go to zbytnie zajęcie się nieznajomego Ewą i zbliżył się do rozmawiających sądząc, że obecność jego, którego zapewne ów Don Juan musiał zauważyć w trzeciej loży, zmięsza rozmawiającego. Ale jegomość nie spojrzał nawet na niego, zwrócił się do buldoka i rzekł po niemiecku:

— No, jedziemy. Mam już dosyć tej opery.

— A twoja Venus?

— Jutro będę wiedział jej adres i bliższe szczegóły.

To powiedziawszy wyszli. Adam poszedł za nimi przed teatr. Tu remiza hotelowa zajechała po nich — wsiedli i pojechali.

Adamowi podsłuchana rozmowa zepsuła humor, gniewało go, że ci dwaj jegomoście śmieli mieć jakieś plany względem Ewy; uważał ich za opryszków, którzy czyhali na skarb jego i niepokoiło go to, gdyż przeczuwał jakieś niebezpieczeństwo dla siebie; ale nie wiedział w jaki sposób ono się pojawi. Postanowił pilnie strzedz Ewy i był zdecydowany zrobić awanturę z owymi jegomościami, gdyby się poważyli zbliżyć do niej.

Kiedy wrócił do teatru tenor śpiewał właśnie aryę: „ach jakże zmienne są serca kobiet.“ Spojrzał do loży Ewy — ta miała oczy zwrócone na pustą lożę owych starców. Skrzywił się i postanowił nie patrzeć więcej na nią. Zwrócił większą uwagę na scenę, którą się dotąd prawie nie zajmował. Następował właśnie wspaniały kwartet, który najobojętniejszego mógł porwać i zająć. Adam z całą przyjemnością oddał się muzyce; był to dla niego rodzaj odpoczynku po silnych wzruszeniach dzisiejszego wieczora. Do końca sztuki słuchał z uwagą śpiewu, dopiero podczas ostatniej aryi Rigoletta rzucił nieznacznie spojrzenie na Ewę i spotkał się z jej wzrokiem utkwionym w niego głęboko. To go wyrwało znowu z zaczarowanego koła muzyki, radby był co prędzej iść do Ewy, niecierpliwiła go ostatnia scena i czekał rychło Rigoletto odsłoni worek i wyda ostatni krzyk na widok trupa córki. Nie mógł doczekać się tej chwili i wyszedł przed końcem.

Na korytarzu prowadzącym do loży spotkał owego żyda faktora chodzącego jakby na straży tam i napowrót i widocznie czekającego na wyjście czyjeś. Zmierzył go surowym wzrokiem i potrącił w przechodzie. Żydek się grzecznie usunął, ale nie odszedł.

W tej chwili dał się słyszeć grzmot oklasków, co było znakiem dla Adama, że się wreszcie sztuka skończyła — i wszedł do loży pań, które się już ubierały do wyjścia. Adam miał jeszcze sposobność osłonięcia szalem Ewy, przyczem ręce jego dotknęły się jej odkrytych ramion. Wstrząsnęła się lekko, jakby ją dreszcz przeszedł i rzekła po cichu patrząc mu zalotnie w oczy:

— Jakże pan masz zimne ręce.

Niezadługo we drzwiach pojawił się Zygmunt i ponurym wzrokiem spojrzał na Ewę.

— Jest mój cień — szepnęła skrzywiwszy usta grymaśnie. — Panie Adamie podaj mi pan rękę.

Adam nie mógł się wymówić, choć widział z jaką miną patrzała matka Stasi na to wszystko. Nie śmiał jej spojrzeć w oczy i podawszy rękę Ewie wyszedł z nią pierwszy z loży. Stary major ofiarował się na usługi matki Stasi, a Stasię poprowadził Zygmunt.

— Pani zdajesz się być mocno wzruszoną — rzekł do niej schodząc ze schodów — ręka pani drży, co pani jest? — i spojrzał na nią z troskliwością i niepokojem.

— Będziesz się pan może śmiał ze mnie — odrzekła Stasia nieśmiało — gdy powiem, że Rigoletto tak mnie wzruszył. Pierwszy raz byłam na operze. O ileż silniej działa na nas słowo przez muzykę. Wstyd mnie było płakać, a nie mogłam się od łez wstrzymać.

— Więc pani nad Rigolettem płakałaś? — spytał Zygmunt patrząc z zachwytem na tę nieudaną, cudowną naiwność. Łzy szkliły się jeszcze w jej błękitnych oczach.

— A na pana to nie działa?

— Ja, pani, nie słyszałem prawie opery.

— A to dlaczego? — spytała zdziwiona.

— Bo ja sam byłem Rigolettem. Zresztą obserwowałem dramat, który się odgrywał nie na scenie.

— Nie rozumiem pana.

— To szczęście pani, że nie rozumiesz. Możeby cię wtedy Rigoletto mniej zajmował.

Tłum ludzi, w który weszli, przerwał dalszą rozmowę. Ewa tymczasem była już w powozie.

— Pan jedziesz z nami? — spytała Adama.

— Nie wiem; wszak może Zygmunt jedzie z państwem, ja dojdę piechotą.

— Na to nie pozwolę. Zabierzemy się wszyscy, pana umieścimy między sobą. Między niebem a ziemią — dodała śmiejąc się i nagle urwawszy śmiech rzekła już seryo:

— Jeżeli Zygmunt nie pojedzie, pan odprowadzisz nas do Zarzecza, dobrze? Wszak pan przyrzekłeś.

— Tak; ale nie teraz.

— Ja proszę — szepnęła z naciskiem i namiętną prośbą.

— Cóżby powiedziano? — odrzekł zakłopotany Adam.

— O kogo panu idzie, o czyj sąd?

Chciał coś odpowiedzieć, ale nie było czasu, bo reszta osób zbliżyła się do powozu. Major z matką Stasi usiedli w głębi, panny na przodzie.

— A pan Zygmunt jedzie z nami? — spytał major.

— Nie, ja zostanę w mieście — odrzekł sucho.

— Więc siadaj pan, panie Adamie — odezwała się Ewa.

*

Adam podał na pożegnanie rekę Zygmuntowi, które ten chłodno i obojętnie uścisnął i usiadł na koźle.

Powóz ruszył z miejsca. Adam obejrzał się jeszcze za Zygmuntem, który stał na schodach teatru i patrzał za niemi.

Towarzystwo w powozie siedziało w milczeniu. Przerwała je Ewa, która spytała Stasię, jak się jej sztuka podobała.

— Bardzo, bardzo. Ale smutne na mnie zrobiła wrażenie. Mętno mi i ciężko na duszy. To poświęcenie się córki Rigoletta dla człowieka, który nie był wart tego, jakież to okropne, niesprawiedliwe. Nie będę mogła spać myśląc o tem.

Adam słuchał w milczeniu mówiącej Stasi, każde słowo było wyrzutem dla niego; budziło sumienie jego z pijanego snu. Radby był teraz uciec jak najdalej, by nie słyszeć tego głosu, co go mimo wiedzy i woli potępiał.

Ewa roześmiała się pustym śmiechem z uwag Stasi.

— Chcesz — rzekła — by w tej epoce jak w bajce, był sens moralny na końcu.

— A ty nie?

— Ja w operze chcę śpiewu, muzyki. Czy grasz Rigoletta?

— Mam tylko mały wyciąg na fortepian z pierwszego aktu, najmniej ładny.

— Ja mam cały. Przyszlę ci go jutro przez pana Adama.

— Jakto? — spytała Stasia zdziwiona tym niespodziewanym zwrotem.

Ewa pospieszyła z objaśnieniem i rzekła:

— Pan Adam był tak grzecznym i ofiarował się odprowadzić nas dziś do Zarzecza.

Adam przygryzł wargi i w milczeniu czekał, co na to powie Stasia. Ale Stasia również jak jej matka milczeniem przyjęły tę wiadomość. Milczenie to stokroć więcej dotknęło Adama, niżby to mógł zrobić wyrzut. Radby był cofnąć się; ale niepodobna było zaprzeczyć temu, co powiedziała Ewa. Adam z zamkniętymi oczyma na oślep postanowił brnąć dalej.

Gdy powóz zatrzymał się przed dworkiem wdowy, zeskoczył z kozła i podał rękę wysiadającym paniom. Pocałował w rękę matkę Stasi, która mu się chłodno i poważnie skłoniła. Potem uścisnął rękę Stasi. Ona spojrzała na niego rzewnie, łagodnie i rzekła miękkim głosem:

— Do prędkiego widzenia Adasiu. Czekamy cię.

— Do widzenia — odrzekł rozstrojony, pomięszany i pośpiesznie wsunął się do powozu, gdzie usiadł naprzeciw Ewy i majora.

Powóz ruszył z miejsca. Ewa wysunęła się naprzód tak, że głowa jej prawie dotykała twarzy Adama i szepnęła z uśmiechem żartobliwie:

— Jesteś pan teraz w niewoli.

Koniec części pierwszej.

GARBUS Z BONONII,

poemat z wieków średnich

przez

WŁADYSŁAWA ORDONA.

(Dokończenie.)

Przed tem wołaniem kędyż się uchroni?
Jak kropla wody tętni ono w ciszy.
Zatyka uszy: słuchem ducha słyszy,
Przewraca sprzęty; biegnie: głos go goni!
Tak Orest Furyi pogoń czuje srogą,
Ściany świątyni ukryć go nie mogą!

Na chwilę błysła mu w duszy myśl mezka:
— „Odkryć się, zdobyć ją sobie w dzień biały!“
Lecz wnet przed okiem staje marzeń klęska
I dzielny zamiar słania się omdlały;
Ostatni poszept miłości wspaniały
Milknie. Namiętność wstępuje na wały!

— „Precz z wahaniami! Chwila jeszcze, chwilka!
Tak krótka chwilka, jak życie motylka:
Już słońce schyla promienistą głowę,
Bledną i mierzchną obłoczki rożowe,
Ach, mgnienie tylko, ach! a po tem mgnieniu
Wieczność rozkoszy w jednem uścisnieniu!
Za cenę życia ta rozkosz kupiona
I wartość swoją musi mi zapłacić!
Tyle zyskawszy — możnaż naraz stracić?!
Dwa razy żyje, kto całując kona!
Kłęb się ciemności — usta ust nie miną,
Gdy się szukają — łono znajdzie łono!
Na czyjeż usta strugi lawy spłyną?
Dla kogoż błyski oczu jej zapłoną?
Kto tonąć będzie w wonnym jej warkoczu?
Na moje usta, ach dla moich oczu,
To moje usta i oczy utoną!
Tak mówił Allan a twarz mu pobladła,
Wzrok się rozkoszy mgłą wilgotną zmroczył.

Spojrzał za okno: ciemność — noc zapadła.
Uderzył we drzwi — rygiel szczęknął — odskoczył,
Zgrzytnęły odrzwia i echo pognało
Za nim, powietrze krając niby wiosło;
A drugie z miasta jego pieśń przyniosło,
Pieśń pomięszaną, drżącą i nie całą:

— „Zgoda! starzec odpowiada, zgoda!
„Targ przybity, ja nie będę z głazu,
„Lecz na mgnienie tylko usta poda,
„Rozkosz i śmierć wyssiesz z nich od razu!
„Dusza dla mnie, tobie rozkosz młoda,
„Lecz... na mgnienie i padniesz jak z głazu!“

IV.

Tej nocy były róży zaślubiny
Z białym narcyzem. Powietrze aż drżało
Radosną wrzawą kwiecistej drużyny.
Druchnami były lilie strojne biało,
Drużbami czarne dwa dziw-tulipany;
Za niemi orszak sunął nieprzebrany.

Na darń usiadło biesiadników grono
Białym obrusem ze mgły zaścieloną.

Najbliżej młodych malwy się skupiły,
Po nad innemi górujące skronią;
Bezwonne — fiołków pożyczoną wonią,
Pomiędzy bratniem gronem się pyszniły.
Przy nich mimozy, co się ręki chronią;
A nieśmiertelnik wiekami pochyły
I dwa lotusy kwiaty śniące w parce,
Poczetne miejsce wzięły jako starce.

Nad niemi lśniły się niebieskie gmachy
Ciemne, głębokie, lazurowe całe.
Jak świecznik blaski siejąc okazałe,
W każdym się krzaczku palił żuczek błahy,
Podczaszym uczty był motylek biały,
Dzwonki wesoło, jak orkiestra grały.

Pod dźwięk ten, pod tą światłością łagodną
Wydając z siebie szmer, jakby pszczół roju,
Ci biesiadnicy pili rosę chłodną
Z pełnych kielichów polnego powoju;
Jaśniała radość, huczały wiwaty,
Przyjaźnie z sobą szczebiotały liście,
Aloes dumnie otwierając kwiaty,
Jak działo tryumfu strzelał uroczyście
A w okół z trawy patrzał ludek prosty:
Stokroć, ostróżki, nagietki i osty.

Już czas słać łoże ślubne. Lilie druchny
Kładą posłanie z białej mgły leciuchnej,
Przez tłumy gości z namiętnym pospiechem
Wstydliwą różę wiedzie nowożeniec.
Siostry wskazują sobie jej rumieniec,
Hucznym ich gonią biesiadnicy śmiechem;
Lecz już zniknęli i za niemi wrzawa
Raz buchnie jeszcze i nagle ustawa.
Niebo i ziemia zcichły — bez tchu stały,
Księżyc, co błysnął, ukrył w chmurach lice;
Jak gdyby sobą zamącić się bały
Wielką Miłości twórczej tajemnicę!

. . . .

Naraz krzyk jakiś powietrze zamącił,
Mdleje, zanosi się, szaleje, płoni!
Takiego więcej nie słyszeć nikomu!
O domy trąca, echem w miasto goni;
Czy róża pierwszy jęk rozkoszy roni?
Czy narcyz może?... To z Foscolich domu...
A po tym jęku głębsza jeszcze cisza,
I w głąb jeziora ktoś spadł ciężko... głucho
Z drabinki drżącej jak skrzydło anioła.
Nurt się rozłamał, trysły krople hojne
I łono wody stoi znów spokojne,
Tylko się gonią coraz szersze koła.
Tu krzyk — krzyk nowy wpada strzałą w ucho,
Rozpacz, w nim boleść, trwoga biją falą!
Na odgłos jego ganki pałacowe
Stom się pochodni ożywiają, palą,
Po wodzie suną błyski purpurowe,
Mur, brzeg i ogród rumieńcem zapłonął;
Rwie się zbudzone ptastwo wczesną zorzą;
Stanęli. Sieci pluszczą, nurty orzą.

— „Twarz mi, twarz jego, o na mękę Bożą,
„Twarz mi pokażcie,“ głos z okienka błaga.
„Nigdy nie ujrzeć! nie to być nie może!...
„Nigdy nie poznać!... Sprawiedliwy Boże!
„Za jakąż winę twoja dłoń mnie smaga?
„Ty dać nie mogłeś takiego rozkazu!
„Ach! onby głos mój usłuchał od razu.
„Więc wołać będę... Lecz jakże zawołam?!
„W snach moich jego nie znajdę obrazu,
„Między duchami poznać go nie zdołam!...
„Świateł tu! więcej!... Ostrożnie z hakami,
„Szanujcie ludzie męża mego ciało!
„Srogi rachunek będę miała z wami
„O krwi kropelkę!... Prędzej!... Co się stało?...
„Czemu czekacie?... Nieście go łagodnie!...
„Nieprawdaż? piękny!... Jakżeście szczęśliwi,
„Wyście twarz jego pierwsi zobaczyli!...
„Otworzyć bramę!... Przysuńcie pochodnie!
„Obudzić ojca! Starzec się zadziwi...
„Będziemy troje... razem... wiecznie... żyli!
„Nic już nie widzę!... wiatr na światła wionął,
„Czemu wracają?... Co za gwar zmięszany?...
„Czekajcie!... Gdzie jest drogi mój! nieznany?!...“
Z dołu odpowiedź głucho brzmi:
— „Utonął!...“

V.

W wysokich oknach Foscolich pałacu
Często cień widać przechodzący żywo,
Lub w dal patrzący źrenicą tęskliwą.
Schyla się, szuka w jeziorze... na placu,
Najczulsze słowa rzuca w przestrzeń próżną;
Albo się stopą posuwa ostrożną,
Jak gdyby czujność chciał omylić czyją,
I wraz wybiega na ulice miasta.
Młoda, wspaniale piękna to niewiasta:
Krucze jej włosy pędzą ją i biją,
Z pod ich obfitej, rozrzuconej fali
Czarna źrenica obłędem się pali;
I dziwna! Z twarzy tej matowo bladej,
Jak ze mgieł świtu krwawa zorza młoda,
Wychodzą usta, pełne jak jagoda
Dojrzała sokiem, wytrysnąć gotowa,
Od słonecznego żaru purpurowa.
Te usta kogoś wciąż szukają... płoną.
W wonnem powietrzu coś pochwycić życzą,
Zda się całują kogoś tajemniczo;
Pragnienia mękę na nich widać srogą!
Lud się jej cicho ustępuje drogą,
I krok jej śledząc źrenicą ostrożną
Szepce trwożliwie: to Foscoli Bianka,
Widziała duszę swojego kochanka,
A ciała jego szuka wciąż naprożno...

Lwów 7 Lipca 1872.

KSIĄDZ HUGO KOŁŁĄTAJ

i jego prześladowcy,

szkic biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Dokończenie.)

XIX.

Siemieński zarzuca Kołłątajowi, że chodząc zwykle krętemi drogami, udawał obłudnie, jakoby mu nie wypadało wprost pisać w swej sprawie do Szczęsnego Potockiego, lecz że za to zgłaszał się do Prota Potockiego, Hulewiczów, ks Ossowskiego i innych, przystęp do marszałka mających, aby przez nich zaskarbić sobie względy tegoż i tym sposobem ocalić urząd i ogromne majętności, dla których gotów był każdej chwili zrezygnować z swych przekonań i związać się z przeciwnikami politycznymi, a nawet z mocarstwem, względem którego zdawał się być nieprzejednanym. Dowodem zaś tego mają być listy jego w tym zbiorze umieszczone.

Otóż w zbiorze nie ma ani jednego listu do Prota Potockiego, do Benedykta Hulewicza jest tylko dwa, do trzech Hulewiczów jeden, a do ks. Ossowskiego trzy, do innych zaś osób mających przystęp do Szczęsnego Potockiego nie znalazłem także ani jednego listu. Przypatrzmyż się treści tych listów. Pierwszy pisany do Bened. Hulewicza 18 Października 1792 (str. 92 i następ. T. I) jest odpowiedzią na wyjątek z listu Hulewicza do biskupa łuckiego. Kołłątaj wykazuje w nim całą nieprawość postępowania Targowicy, przepowiada straszne dla ojczyzny następstwa zbrodniczego jej związku z Moskwą, której stała się narzędziem, wyświeca jej dążenia sprzeczne z zasadami wolności i z prawami Rpltej, których nazwała się obronicielką i rozbiera z szorstką bezwzględnością ustęp za ustępem niedorzeczny pozew, z jakim przeciw niemu wystąpiła konfederacya. Sam ton listu tego, potępiającego wszystkie czyny i dążenia Targowicy, powinien

był przeświadczyć Siemieńskiego, że Kołłątajowi nie mogło tu iść o przejednanie jej marszałka, skoro tak ostrej krytyce poddawał jej działania, ponieważ wiedział, że tem zaślepionych nie przekona, a za to bardziej tylko roznamiętni ich przeciw sobie. W drugim liście z 18 Lipca 1793 (str. 76 T. II) donosi Hulewiczowi, że ks. Sierakowski, proboszcz humański, klient jego mecenasa wyrobił sobie sancytum na probostwo Krzyżanowickie i wzywa go o skłonienie Potockiego, by „napisał *verba veritatis* chciwemu księdzu,“ który wtedy, gdy ginie ojczyzna, dopuszcza się rozboju na drugich.

Do Leona, Stanisława i Szczęsnego Hulewiczów pisał Kołłątaj 7 Września 1793 (str. 93 i następ. T. II) w odpowiedzi na ich list, zawierający oświadczenie się ich z gotowością zajęcia się sprawami jego, byle wskazał sposoby. W liście tem ubolewa Kołłątaj nad nieszczęściem i smutnem położeniem ojczyzny i cieszy się tem przynajmniej, że odarty z wszystkiego cierpi z nią razem. Zostawiając zaś im i każdemu do woli, kto zechce czynić starania i zabiegi w Grodnie celem naprawienia nieprawości, jakich się przeciw niemu dopuszczono, oświadcza kategorycznie, że cudzą w tej mierze przychylność i czynność wtedy tylko przyjmie z wdzięcznością, jeżeli „w to wchodzić nie będzie żadne jego upodlenie osobiste.“ I z tego zatem listu nie da się wywnioskować, jakoby Kołłątaj tajemnemi drogami chciał sobie jednać względy czy to Potockiego, czy innych hersztów Targowicy.

W liście pierwszym do ks. Ossowskiego z 11 Sierpnia 1792 (str. 11 T. I) prosi o nowiny z kraju i donosi, komu zostawił list kredytowy wojewody kijowskiego (Prota Potockiego). W drugim z 19 Sierpnia 1792 (str. 15 T. I) prosi o odpowiedź na 4 pytania, dotyczące spraw publicznych, a z swej strony donosi o zmowie króla pruskiego z carową i o ukartowanym przed pięciu miesiącami nowym podziale Polski. W trzecim (str. 17 T. I) donosi o swej kuracyi w Alt-Wasser, a dalej pisze: „Ja na mój los już jestem spokojny, to mię tylko trapi, że się boję o całość i niepodległość mojej ojczyzny, dla której w dobrej wierze tyle pracowałem. Nie umię pojąć z teraźniejszych wypadków, jak to być może, żeby sumienie poczciwego mogło być od zgryzoty wolne, lub jak może być ktoś poczciwym, a nie mieć zgryzoty. Mówię o sprawcach tej całej okoliczności.“

Listów do innych osób, mających wpływ na Szczęsnego Potockiego, nie znalazłem w tym zbiorze. Pisywał wprawdzie Kołłątaj do Strassera, Szczurowskiego, braci i synowców swoich, podając sposoby, jakich należy użyć, aby nieprawnie zagrabione mienie jego odzyskać, lecz Siemieński nie potrafi przytoczyć ani jednego ustępu z listów najpoufniejszych jego, któryby w jakikolwiek sposób stwierdzał niegodziwy zarzut, że Kołłątaj w chęci ocalenia urzędu i majętności był każdej chwili gotów zrezygnować z swych przekonań i pójść w służbę Targowicy a nawet Moskwy. Przeciw temu świadczą przytoczone już mnogie ustępy listów jego a mógłbym ich nierównie więcej przytoczyć, gdyby nie obawa, że i tak zbyt się szeroko rozpisałem w obronie jednego z najzasłużeńszych ojczyźnie ludzi, którego najgłówniej prześladowali za życia a czernili po śmierci wyłącznie ludzie, poczytujący miłość ojczyzny i poświęcenie za chorobę mózgową.

Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że Kołłątaj witał radośnie nową erę, którą zainaugurowała rewolucya francuzka. Z tego nie wypływa atoli, że był bezwzględnym wielbicielem wszystkiego, co się działo we Francyi, lub że pochwalał gwałty i bezprawia towarzyszące wprowadzaniu nowego porządku rzeczy. Niech tylko Siemieński raczy odczytać uważnie wszystkie listy jego do mecenasa Barsa, a przekona się niezawodnie o bardzo trzeźwem zapatrywaniu się jego na cały przebieg wypadków we Francyi. Jeżeli się zaś żyma na exjezuitę Luskinę, redaktora Gazety Warszawskiej, nie wynika to z jego sprzyjania stronnictwu rewolucyjnemu, ale ze względu głównie, że Łuskina podawał niezgodne z prawdą doniesienia w swej Gazecie i tem w obłęd wprowadzał publiczność, przed którą z rozmysłu zatajał prawdę. Kołłątaj był zawsze zwolennikiem wolności słowa, a w listach jego znajdzie Siemieński ostre przeciw Targowiczanom za to, że mieniąc się obłudnie obrońcami wolności, zaczęli swe panowanie od najcięższego pognębienia wszelkiej wolności, gdyż od zaprowadzenia cenzury. Lecz Siemieński zaliczy i to zapewne do rzędu pięknych frazesów, które tak obficie sypały się z pióra Kołłątaja!

XX.

Wróciwszy po pierwszym rozbiorze kraju z zagranicy, spostrzegł Kołłątaj zaraz, że chcąc ojczyznę od zupełnej ocalić zagłady, trzeba przedewszystkiem pracować nad usunięciem przyczyn, które sprowadziły pierwszy zabór jej dzierżaw i równie łatwo mogły ją narazić na całkowite rozszarpanie między sąsiednie mocarstwa. Głównem źródłem nieszczęść publicznych były zdaniem jego obieralność królów, wyłączność stanu szlacheckiego, który owładnąwszy ster spraw publicznych, resztę mieszkańców wykluczył od używania wszelkich praw i swobód obywatelskich i sam potem poszedł w służbę wybujałego do potworności możnowładztwa, tudzież wynikły ztąd bezrząd i straszna ciemnota wszystkich prawie warstw ludności. Skoro więc nastręczyła się mu sposobność wystąpienia w zawodzie publicznym, wytknął swej pracy stały kierunek, a wiedziony gorącą miłością ojczyzny, wytrwał w nim aż do zgonu. Przypuszczony do współudziału w czynnościach komisyi edukacyjnej zaczął na tem żyznem polu pracować z nieutrudzoną gorliwością i wytrwałością. Chcąc przez szkoły nietylko krzewić prawdziwą oświatę między wszystkiemi warstwami mieszkańców, ale w dodatku zbliżyć je do siebie i stopniami przygotować zrównanie ich w prawach obywatelskich, otworzył z przyzwoleniem komisyi wszystkim bez wyjątku przystęp do świątyni nauk. Był to pierwszy wielki krok do odrodzenia narodu, a zasługą jest Kołłątaja, że od niego wyszła ta myśl zbawcza.

Przez lat dziesięć (1776—1786) pracował Kołłątaj z całem poświęceniem na polu wychowania publicznego, a co na niem zdziałał, wykazałem już w innem miejscu. Gdy zaś dzięki pomyślnemu zbiegowi stosunków i okoliczności zewnętrznych w r. 1788 zabłysła nadzieja, że będzie można jąć się doraźniejszych środków odrodzenia ojczyzny niż przez powolne oddziaływanie szkoły, widzimy Kołłątaja w pierwszym zaraz rzędzie pomiędzy tymi, którzy drogą reform wynikających z ducha czasu i postępu ludzkości chcieli utrwalić i ubezpieczyć byt ojczyzny. Przewidując z góry, że nie ma ani chwilki do stracenia i że trzeba korzystać co prędzej z pory przyjaznej, wzywał sejm i naród ognistemi słowy do przedsięwzięcia i kończenia dzieła naprawy wszystkich urządzeń Rpltej, dokąd Moskwa zajęta wojną turecką i poróżniona z królem pruskim nie może temu przeszkadzać. Plan przezeń podany tej naprawy a raczej zupełnego przetworzenia Rpltej obejmował utworzenie dostatecznej siły zbrojnej, uporządkowanie skarbu, wprowadzenie dziedziczności tronu i sejmu stałego, przypuszczenie miast do udziału

w sprawach publicznych, usamowolnienie włościan, wolność sumienia i słowa, wymiar bezwzględny sprawiedliwości dla wszystkich itd. itd. Chciał zatem uchylenia na zawsze bezrządu, a ustanowienia silnego rządu konstytucyjnego, któryby potrafił nietylko ład i porządek utrzymać wewnątrz kraju, ale i każdą z zewnątrz odeprzeć napaść. Rzecz prosta, że chcąc wdrożyć myśl takiego przeistoczenia bezrządnej Rpltej w rządną monarchyę konstytucyjną, musiał Kołłątaj uderzyć z całą bezwzględnością na wyuzdaną butę, nadużycia, bezprawia i wichrzycielstwo możnowładzców, którzy w samolubnych celach Rpltę utrzymywali w bezrządzie, na podłość, służalstwo, ciemnotę i przesądy szlachty, na zepsucie kleru i na zgubne następstwa wymyślonej przez możnych obieralności królów, a przytem przemawiać za współudziałem miast w sprawach publicznych i za przyrodzonemi prawami ludu wiejskiego. Ta bezwzględność, z jaką przemawiał w swych pismach, a bardziej jeszcze spowodowane przezeń zebranie się deputatów ze wszystkich miast Rpltej, którzy z jego natchnienia wnieśli obszerny do sejmu memoryał, wykazujący odwieczne prawa miast polskich, wywołały przeciw niemu niechęć całej kliki magnackiej i tych wszystkich, którzy każdą reformę śmielszą, chociażby ubezpieczenie bytu ojczyzny miała na celu, poczytują za zbrodniczy zamach rewolucyjny na swe prawa i przywileje. Przyczyniło się do tej niechęci niemało jego wystąpienie w obronie praw przyrodzonych ludu wiejskiego, czego nikt przed nim z równą nie uczynił żarliwością. Kler znów, któremu wytykał z równą bezwzględnością niedopełnianie świętych obowiązków kapłańskich, nazwał go bezbożnikiem. Kto zresztą wypowiada prawdę bez osłon, jak to czynił Kołłątaj, naraża sobie zawsze tych, dla których prawda taka jest wyrzutem. Pisząc 6 Października 1792 do mecenasa Barsa powiada (str. 49 T. I): „A któż chce iść w dobrej wierze co do swych obowiązków? U nas każdy lubi się podjąć urzędu, choć wie, że mu nie wydoła, a choćby nawet nie wydołał, jednak nie lubi pracy i subjekcyi, Pragnie on, aby za niego kto inny robił, sam zaś aby się tylko urzędem zastawiał.“ Czyż dziś po 80 latach nie dzieje się to samo u nas? Wypowiadanie prawd tego rodzaju nietylko w listach prywatnych ale nawet publicznie, przysparzało mu nieprzyjaciół co nie miara. Z tego źródła wynikły też wszystkie potwarze, jakie za życia i po śmierci miotano na śmiałego reformatora, który obdarzony rzadką potęgą ducha aż do ostatniego tchnienia swego pracował nad odrodzeniem ojczyzny. Siemieński powiada z przekąsem, że pewne stronnictwo uważa go za swego proroka, a powinien był dodać, że stronnictwo to składa się wyłącznie z ludzi, których sam Kołłątaj tak dobrze nacechował w liście do Strassera z 27. Stycznia 1793 (T. II. str. 2), t. j. z ludzi, którzy zapomniawszy o sobie, myślą tylko o ojczyźnie! Dziś stało się modą miotać obelgi na tego kroju ludzi, a co więcej przypisywać im wszystkie niedole, jakie po każdem stłumionem powstaniu kraj dotykają najsrożej. Mimo to może słusznie dziwić, że w r. 1872, a więc w stuletnią rocznicę pierwszego podziału Polski, miasto złożyć wieniec na grób przed 60 laty zmarłego Kołłątaja, który lat 36 szczerze pracował dla dobra kraju i w sprawie odrodzenia narodu, miasto uczcić w nim zasłużonego ojczyźnie obywatela, który dzięki swej żelaznej wytrwałości w pracy mozolnej ułożył cały plan rządu szkolnego i organizacyi wychowania publicznego, czyniący nam dziś jeszcze chlubę, obryzgano pamięć jego jadem potwarzy i to właśnie w chwili, gdy w całej Polsce jedno jest tylko zdanie, a mianowicie że najważniejszą z wszystkich prac organicznych jest krzewienie oświaty przez szkoły. Bardziej jeszcze może zadziwić a nawet dotknąć boleśnie, że profesorowie tej samej akademii krakowskiej, której pierwszym reformatorem i emerytem a następnie rektorem najbardziej zasłużonym był Kołłątaj, nagrodzili niejako Siemieńskiego krzesłem w akademii nauk i umiejętności za rzucone nań obelgi, i za zbeszczeszczenie pamięci jego. Są to smutne oznaki czasu, które boleścią przejmują każde serce prawdziwie polskie.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Dokończenie.)

Kiedyśmy od stołu powstali hr. Narcyz powołał mię z sobą do ogrodu. Oryginalne było to miejsce! Wszelakiej kultury pozbawione, samorządowi natury najkompletniej oddane. Rozporządzała się tam ona jak chciała. Nikt ją łopatą nie znieważał, gracą nie kaleczył, grablami nie inkomodował. Żyła więc sobie bujna, wesoła, szczęśliwa, swobodną fantazyą swoją szeroko sięgająca; żyła pośród traw, ziół i krzewów jędrnych, rozrosłych, zdrowych, zwyczajnie jak dzieci wolności, żyła przy pieśni słowików, szumie drzew stuletnich i fal bliskiego jeziora. Ścieżki tam żadnej nie było. Gdzieniegdzie tylko napotykałeś ślad ludzkiej stopy, wiodący wązuchnym torem, jeden do Ondiny źródełka, drugi do ustronia Wertumna i Pomony, trzeci do cienistej alei klonów, akacyi, topoli, w której sędziwy gospodarz miewał zwyczaj swe poranne i wieczorne pacierze odmawiać i dokąd prowadził mnie obecnie na ustronną pogadankę *sub rosa*. Z pod nóg naszych pierzchały węże i jaszczurki, przerażone zuchwałem wkroczeniem człowieka do ich spokojnej dzielnicy. Roje trzmieli, os i pszczółek krzątających się gorliwie koło ziół i kwiatów, rozlatywały się przed nami z brzękiem przestrachu i oburzenia. Broniliśmy się chustkami od ich natarcia i wkrótce stanęliśmy szczęśliwie w alei żadnego nie poniósłszy szwanku.

— Tu nam kochanku nikt nie przeszkodzi — rzekł hr. Narcyz, sadowiąc mię przy sobie na ławeczce. — Chcę pomówić z tobą o rzeczach tyczących twojego losu, dać tobie przychylną radę, radę od serca, bo sprzyjam tobie sercem, wiesz o tem.

— Wiem i oby ci Panie, Bóg błogosławił, jak ja błogosławię tobie! — odpowiedziałem ze wzruszeniem, biorąc rękę jego do ucałowania. Ale on rękę usunął i mówił dalej:

— Mają mię za dziwaka, za mruka, może nawet za niedołęgę, co pięciu przeliczyć nie potrafi. Mniejsza! Jestem tem, czem jestem, chociaż nie tem, czem byłem. Poznałem lepiej ludzi i poczułem się samotnym. Zgłę-

biłem lepiej ziomków moich i wszelką wiarę w przyszłość polską postradałem! Cóż dziwnego, że posmutniałem, zdziczałem, zszedłem na dziwaka i mruka? Lecz ty nie zważaj na to. Pod grubą korą dziwactwa mego i pozornej mizantropii bije serce szczere, życzliwe, polskie. Jam wcale nie ten, za jakiego mają mię ludzie dzisiejszego pokolenia. Nikomu nie złorzeczę, nikim nie pogardzam, chociaż wyznaję, że wielce boleję na widok tego, co się w umysłach i sercach dopełnia, wielce boleję, że oprócz małej nader liczby rówienników moich (coraz bliżej stąpających ze mną do mogiły) nie mam dziś kogo pokochać, kogo uszanować!

Wyrazić nie zdołam, jak mię głęboko poruszyły te jego słowa z boleścią wymówione, słowa, których treść była dla mnie dziwną, zagadkową, prawie niezrozumiałą. Pojąć nie mogłem, co go mogło tak zniechęcić do ludzi? dla czego się odzywał z takim skeptycyzmem o swoich ziomkach, a więc o Polakach? Kiedym to w myśli swojej roztrząsał, starzec westchnął głęboko i rzekł z pewnym rodzajem zapału:

— Zapomnij kochanku, co mówiłem. Były to słowa smutne, a nie chciałbym zapładniać smutkiem duszę twoją. Możem się wreszcie wyraził mylnie widząc rzeczy gorszemi niżeli są w istocie. Rozum ludzki nie opoka, lecz trzcina. Lada wietrzyk z padołu pochyli go i zwichnie. Ztąd błąd wynika, który bierzemy często za prawdę, bośmy nadto potędze rozumu naszego uwierzyli. Zapomnij więc, powtarzam, słów moich. Mam ci inną rzecz powiedzieć i tej wysłuchaj uważnie. Wkrótce wystąpisz na scenę wielkiego świata, wejdziesz w stosunki społeczne i oficyalne z ludźmi nie twego narodu, nie twojej religii, nie twoich tradycyi i przekonań. Nie daj się uwieść ich uprzejmości, ich przynętom i zalecankom. Żyj w zgodzie z nimi, bo tego rozum wymaga, nie odtrącaj od siebie, bo byłoby niedorzecznem, ale pamiętaj kim jesteś. Strzeż narodowe uczucia twoje od rdzy i plamy! Strzeż ducha twego od zaćmienia i upadku! Strzeż imię twoje od sromoty! Smutno mi, że odjeżdżasz. Tem smutniej, że wiek i moralne znękanie nie dają mi prawa liczyć na to, że się kiedykolwiek tu na ziemi obaczymy. A jednak sam jestem tego zdania, że jechać musisz, że wstąpienie twoje na scenę czynu jest dla ciebie koniecznością, bo przecież nie nauczysz się życia na wsi, a skiba rolnika nie dla ciebie! Zmarniałbyś duchem pośród monotonnej prozy gospodarstwa! Zanudziłbyś się na śmierć w tej martwej ciszy wiejskiego ustronia, stępiającej hart najdzielniejszej natury, bo natura taka, jak twoja, potrzebuje obszerniejszego zakresu działalności dla rozwinięcia sił swoich. Jej ciasno, duszno, nieznośnie w bycie idylicznym, sielankowym, wiecznie słodkim, spokojnym, leniwo-sennym. Nie ma w nim ani nauki, ani podniety, ani tych żywotwornych wzruszeń, co serce podnoszą i umysł. Rad zatem jestem, powtarzam, że się na obszerniejsze puszczasz szlaki. Chciałbym tylko wiedzieć, jaką sobie karyerę wybrałeś.

— Żadnej.

— Jakto żadnej? Wszak jedziesz na służbę.

— Rzeczywiście, lecz z rozkazu ojca, nie zaś z własnego wyboru.

— Gdzież przecie rozkazał ci służyć?

— W ministerstwie spraw zagranicznych.

— Na dyplomatę! — zawołał starzec ze wzruszeniem. Ciebie kierują na dyplomatę! Źle to, kochanku! Bardzo źle! Ta droga wiedzie nie do góry, ale na dół! Ta droga nie podnosi, ale zniża! Nie twoja to droga!

— Nie rozumiem.

— Słuchaj! dyplomatą *) zowie się ten, co swe sumienie kłamstwu oficyalnemu zaprzedał, co w imieniu normy przez rząd uchwalonej, egoistycznej i podstępnej, usiłuje zmylić obce rządy lub narody oszukać. Dyplomatą jest ten, co się wyrzekł zasad moralności, zamiłowania prawdy, tradycyi rodowego honoru. Chceszli teraz zostać dyplomatą!

— Takim nie! Wszyscy jednak nie mogą być takimi, jakeś ich opisał. Muszą być przecież pomiędzy nimi i tacy, co swój mandat sumiennie spełniają.

— W sferze dyplomatycznej ten tylko spełnia sumiennie swój mandat, kto o sumieniu zupełnie zapomniał. Wieszli ty czem jest właściwie każdy poseł przy obcym dworze?

— Przedstawicielem swego monarchy, lub swego narodu.

— Nieinaczej kochanku! On jest rzeczywiście przedstawicielem legalnej władzy, której politycznemu interesowi służyć obowiązany. Pod taką firmą występuje on oficyalnie w świetnej aureoli dostojeństwa i znaczenia. A przecież gdy odrzuciwszy pryzmę pozorów wnikniesz do gruntu rzeczy, jaką tam nędzę moralną, jaką nikczemność plugawą obaczysz! Szpiegostwo, przekupstwo, podstępy, zdradę na różne łady i na każdym kroku, oto są kochanku sprężyny, któremi dyplomata porusza mechanizm swego piekielnego dzieła intrygi i przeniewierstwa! Chceszli jeszcze zostać dyplomatą?

— Nie! nie! za nic! — rzekłem przerażony okropnością obrazu, jaki przedemną roztoczył.—Jakże jednak mam postąpić, nie będąc panem wyboru. Wszak winienem posłuszeństwo ojcu...

— Ani słowa kochanku. Ja też i nie myślę ciebie strącać z drogi posłuszeństwa. Niewolno ci być nieposłusznym, to pewna, alo wolno prosić. Wyznaj ojcu twemu z pokorą i uszanowaniem, że do zawodu dyplomatycznego nie masz usposobienia, że gdybyś nawet idąc tą drogą i doznał powodzenia, niewiele by to Polakowi zaszczytu przyniosło, bo, wiadomo, że polityka moskiewska nie może być inną *de facto* jeno anti liberalną, a więc i antipolską. Pewny jestem, że ten ostatni argument podziała na ojca twego i skłoni go do uwzględnienia twej prośby.

— Jakiegoż radzisz mi jąć się zawodu? Wszak sam mówiłeś, że powinienem służyć.

— Broń Boże inaczej! Młodzież nasza, ta, którę widzisz dokoła siebie, niedobrym stąpa torem. Ze szkół niewiele rozumu przyniosła, a poczerpnąć go z życia nie chce. Woli gnuśnieć w materyalizmie, mierzchnąć umysłem w lenistwie, stygnąć duchem w próżniactwie i w przesycie domowego sybarytyzmu, niżeli kształcić siebie na ludzi użytecznych sprawie ojczystej, gdy godzina jej przebudzenia uderzy. Synowie nawet moi nie lepsi od ogółu i to mię srodze boli! Odradzałem tobie karyerę dyplomatyczną, bo kromie niesławy i bezkorzystnej straty czasu nic byś z niej innego nie wyniósł, ale zalecam ci gorąco zawód wojskowy, jako najstosowniejszy obecnie dla Polaka, najpotrzebniejszy w przyszłości dla naszej sprawy, która jeżeli się kiedykolwiek podźwignie z upadku, to nie wykrętami dyplomatycznego pióra, nie czczą deklamacyą utopistów i krzykaczy, a li tylko dzielnymi ciosy oręża i poświęceniem ludzi umiejących władać nim należycie! Na nich to spocznie kiedyś chlubny ciężar wielkiego dzieła swobody i odwetu! Potrzebni więc będą oni krajowi, potrzebni! Pojmujesz więc teraz dlaczego ci zawód militarny nad inne zalecam.

*) Zanadto wiele przesady w tem ogólnikowem określeniu dyplomaty. Nie każda polityka bywa zdradliwą, nie każdy więc dyplomata zdrajcą.

Obeznasz się ze sztuką wojskową, zahartujesz ciało do trudu i niewygody, nawykniesz do karności dyscyplinarnej, do powściągania drugich i siebie samego, do posłuszeństwa, rygoru, punktualności i porządku, bez których nic powstać dobrego ani trwać i kwitnąć w społeczeństwie nie może, bez których i same społeczeństwo rozpierzchnąć się musi koniecznie i upaść, czego mieliśmy niestety! smutny przykład na Polsce podkopanej negacyą władzy i prawa, obalonej samorządem jednostek ze szkodą harmonii ogółu! My Polacy potrzebujemy takiej szkoły, potrzebujemy być ujętymi w karby militarnego ładu i uległości woli rozkazującej i każdym razem kiedy, tak bywało, rosła Polska w potęgę na zewnątrz, kwitła i była szczęśliwą wewnątrz, bo duch narodu nie rozstrzeliwał się wtedy anarchicznie, lecz skupiał ciasno w zgodnem dążeniu, ku pomyślności i sławie, nic innego nie miał na celu. Jedź więc na służbę, kochanku! Jedź z postanowieniem stać się użytecznym krajowi naszemu! Nie sądzę, żebyś pod obcym mundurem o polskich uczuciach zapomniał, żebyś się zaparł siebie i swoich! Wszak prawda kochanku, nie uczynisz tego?...

— O, nie! nie! — zawołałem z natchnieniem. — Nic takiego nie uczynię, coby twej dobrej o mnie opinii kłam zadało! coby uczciwemu imieniowi przodków zakałę przyniosło!

— Wierzę kochanku, wierzę! — rzekł starzec sędziwy i błogosławię tobie z całego serca na znój ciężki żywota, który oby tobie posłużył na sławę a sprawie naszej świętej na pożytek!

— Amen! tego jak on! — przemówił ktoś donośnie w gęstwinie i w tejże chwili ukazała się nam twarz uśmiechająca się starosty Lipskiego, rzekłbyś oblicze Anakreonta uwieńczone zielenią i kwieciem. Skoro nas ujrzał zaśpiewał kozim głosem zwykły swój *refrain* (nie wiem zkąd wzięty):

Segem, legem kokietana
Bardzo sem kocham waćpana!

i przestąpiwszy lekko tamę agrestów i malin wkroczył do alei i stanął przed nami. Jednocześnie ruchy i gwary zaczęły się rozlegać po ogrodzie. Całe towarzystwo ciągnęło *in pleno* śladem przewodniczym starosty. Zaludniła się aleja. Jękły jej trawy i zioła pod naciskiem stóp tyłu, a rozgłośne brzmienia tonicznej skali rozhoworów, wołań i śmiechów, spłoszyły jej tęskne i wiekuiste milczenie.

Rozmowa ze czcigodnym hr. Narcyzem usposobiła mię uroczyście, wyniosła ducha mego nad poziomy drobnostkowej prozy, cechującej zwykle obchodowe zjazdy nasze *in gratiam* urodzin lub imienin. Kiedy szampan podniecał humorystyczną werwę dostojnych gości i poglądom ich, rzadko z bezstronnej prawdy wysnutym, nadawał niesforne jakieś, awanturnicze kierunki, jam stąpał myślą śladem wrażenia, jakie hr. Narcyz we mnie obudził, snułem ze słów jego nić kierowniczą mojej przyszłości i w obec przestworu świata, mającego się wkrótce roztoczyć przedemną, rosłem odwagą, siłą i wiarą gotowy przekroczyć śmiało próg nowych kolei bytu, nowych obowiązków moich i przeznaczeń. Spoważniałem więc na chwilę. Przestałem być, czem zwykle byłem. Żarciki i dowcipkowanie wesołej zgrai kaleczyły mię jak dyssonans nóty niewiernej akordowi swemu, występnej przeciw eufonii muzykalnego utworu. Wymknąłem się tedy pokryjomu z alei. Krańce ogrodu przypierały z dwóch stron do obszernego jeziora, malowniczo rozpostartego pośród zielonych i górzystych wybrzeży. Sznurem uwiązane do drzewa kołysało się małe czółenko rybackie w zatoce. Skoczyłem do czółenka, naparłem na wiosło i popłynąłem. Szukałem samotności by łatwiej skupić się w sobie, swobodniej podumać o sobie i uroczyściej pożegnać duszą błogie doby domowe w cieplem tchnieniu serc przychylnych pod opieką troskliwą czcigodnej babki mojej na Ukrainie przepędzone. Żale i nadzieje podzieliły się tedy jestestwem mojem. Połową duszy płakałem po tem co było, drugą połową witałem to co będzie. Ze łzą w oku i z uśmiechem nadziei w sercu płynąłem dalej i dalej, uderzając wiosłem niedbale o toń błękitną jeziora, tonąc myślą w obszarach natury i czasu.

Dziwne zjawisko towarzyszyło samotnej mojej żegludze Jaskrawą zorzą blasków świeciła ta przestrzeń jeziora, po której się moje czółenko ślizgało. Dalszą część onego do której dążyłem, mrok czarny pokrywał. Nie byłaż to wróżba dni czarnych, jakie mię w przyszłości czekały? Bądź co bądź dal była ciemną i żadna jej nie przyświecała gwiazda. Wiatr niespokojny poruszał jej fale i w oczeretach szeleścił. Gdym spojrzał w niebo gwiazdy były nademną, chmury przedemną, a w miarę tego jakem się do zony mroków przybliżał, szumniej dyszała woda i czółenko moje prąd wsteczny coraz gwałtowniej unosił. Alem się oparł prądowi, przemogłem moc jego niechętną i śmiało popłynąłem dalej przez cieśnie kęp sterczących nad tonią, przez wąskie manowce ostrowów jeziora i oczeretów, za którymi znowu się przestronno zrobiło, lotniej pobiegło czółenko i wielkie tchnienia pól powiały na mnie zdaleka. Chciwą piersią piłem ich świeżość i woń żywotworną. Chciwem uchem łowiłem gwary odległe przestrzeni, co zkądś leciały ku mnie ze strofą urwaną jakiejś ludowej piosnki, z ulotną przegrywką pasterskiego fletu. To znowu gdzieś koń harcował po stepie, trzody wracającej z pastwiska rozlegały się różnostrojne odgłosy. Coś zaszumiało zdaleka, to mielnik odkrył łotoki i młyn swój puścił do ranka. Coś ześwieciło w górze, to pyrotechniczne ognie strzeliły ku niebu rzutem rakiet gwiaździstych, wybuchem płomienistych buraków, fontanną świec rzymskich i szmermeli. Festiwal domowy zbliżał się do swego *apogeum.* Po sztucznych ogniach miały nastąpić tany, wieczerza, bachusowe libacye. Czas tedy było myśleć o powrocie, bo więcej dwóch godzin trwało wydalenie się moje z towarzystwa. Poparłem silnie wiosłem. Strącone z miejsca czółenko opisało szeroki segment koła i stanąwszy na linii kierunku pchnęło się naprzód pospiesznie.

Prześliczny obraz miałem przed sobą. Dom hr. Narcyza promienił się światłem. Brzeg jeziora jaśniał od strony ogrodu gustownymi arabeski lamp różnokolorowych, jakby haftem feerycznym z rubinów, ametystów, szmaragdów, opali, co się drżącem odbiciem w przeźroczach toni powtarzał i ożywiał. Kiedym wkroczył do sali, gwarno tam było jak w ulu. Kapela rznęła butnego polonesa i pary gotowały się do tańca. Kontusze rej wiodły, ma się rozumieć. Starość sędziwa przewodziła zabawie młodszych pokoleń.

Starosta Lipski okręciwszy się na nodze kiej fircyk jaki i pogładziwszy białego wąsika posunął się układnie z najpokorniejszą rewerencyą do czcigodnej gospodyni domu i submitując się jej nizkim ukłonem wypalił inwitacyę do tańca. Paweł Rakowski, Leopold hr. Krasicki i cześnik Antoni Pokrzywnicki, luminarze obywatelskiej prawości i kolligaci domu stanęli także w szeregu, poprawiwszy pasa i zarzuciwszy wyloty. Było tam kilku jeszcze staruszków jednej z nimi daty, ale już niekontuszowych. I tych uniósł prąd chwili śladem onych przewódzców poważnego tańca.

Kilkadziesiąt par stanęło w szyku. Przechodząc koło kapeli z panią Leopoldową Krasicką (z domu

Bekierską) cześnik Antoni Pokrzywnicki zaordynował polonesa Batorego i huknął strofę wiadomą:

Nasz Stefan Batory wielki
Gromił Turki i Tatary,
Bo nie nosił kamizelki
Lecz kontusze i czamary!

Wprawna i posłuszna kapela wpadła natychmiast na rytm wyrazisty i potoczystą nótę ordynowanego tańca. Zaogniły się duchy jakby się im niespodzianie sam Stefan Batory objawił i raźniej, żywiej, butniej pociągnęły pary śladem pierwszej, w której rysując się układnie z konfederatką w ręku starosta Lipski sadził się na skręty, zakręty i rozmaite addytamenta za świetnych czasów polonesa u nas praktykowane. Harmonii tego obrazu wielce szkodziły te nasze fraki, takie kuce, nikczemne i nic nie wyrażające. I żeńskie stroje, płód paryzkiego żurnalowego niesmaku, czyliż nie były także rażącą anomalią w gronie dziewic polskich i niewiast? Nie tak się ubierały, nie tak, dostojne prababki nasze. Te ich greczynki, lewitki, kabaciki z drogich tkani jedwabnych srebrem i złotem przetykanych, napominające oryentalne pochodzenie nasze, musiały dziwnie uwydatniać krasę niewieścią. Toki ze strusiemi pióry (waryant azyatyckiego turbana) udzielały jej majestatyczności i uroku. A naszym świeżym, hożym i szykownym dziewicom jakże musiały przypadać do twarzy owe powiewne tuniki ze srebrnej gazy ciasno kibić otulające, owe barwiste karaki od bajaderek Hindustanu pożyczone, oraz te zgrabne i bogate spencery (z greckiej kondoguny powstałe) co obok warkoczy oplecionych perłami, kwieciem lub kraśnymi sznury korali napominały tak żywo stroje poetycznego Lewantu pełne harmonii i gracyi.

Niech tam sobie mówią co chcą, ale to rzecz pewna, że degeneracya narodowego ubioru dowodzi degeneracyi i samego narodu. Od kiedyśmy się zfrancuzili westymentalnie, przestaliśmy być czem byliśmy dawniej moralnie. I ustrój społeczeństwa jakże się odmienił! Z łaski fraka, tego narzędzia kosmopolityzmu i niwelacyi, świetne tradycye rodowe straciły swoje znaczenie, narody swoją charakterystyczną wyłączność. Frak zniwelował socyalne szczyty, zatarł gniazdowe cechy Europy. Nie będzie już wkrótce ani Hiszpanów, ani Szkotów, ani Włochów, ani Polaków— będą ludzie! Ale czy się znajdzie człowiek pomiędzy nimi? Bóg to raczy wiedzieć.

Do późnej nocy trwała zabawa. Kadryle, walce, anglezy skazane u nas na banicyę zastąpiono nieskończoną liczbą dzielnych naszych i posuwistych mazurów. Ochoczo hasała młódź poczciwa. Starszym dostało się także uciąć parą hołubców i obertasów na wezwanie tej uprzejmej tanecznicy, co wybiegłszy polotnie z koła, porywała za rękę i ciągnęła za sobą. Nadobne swawolnice nie dawały pokoju staroście Lipskiemu. Ledwie się z jedną uporał, druga już go wlecze do tańca, a trzecia i czwarta czatują zdradziecko na zasadzce. Zwijał się stary nad lata i figury wymyślał i koncepciki stroił i strofy jakieś okolicznościowe pamięcią dochowane wyspiewywał, rysując się, wyginając zalotnie i bijąc gęsto podkówkami.

— Tęgo! dzielnie! przecudnie! — wołano zewsząd i rzęsistym aplauzom końca nie było, gdy wesoły staruszek powracał po raz dziesiąty do wygodnej kanapki, na której nie dawano mu zagrzać miejsca.

— *Gratulor!* mości panowie i mości panie! — mówił wachlując się chustką i ocierając pot z czoła. — Rzecz sama przez się nie warta pochwały waszej. Stary jestem, tego jak on! Stary! *ergo* niedołęga i flejtuch! Trzeba mię było widzieć kiedym to ja był jeszcze młodym i zuchem co się zowie. Żaden wiatr nie pląsał tego jak on tak lekko jak ja. I na pańskich salonach i pod szlachecką strzechą, czy to w Koronie, czy na Litwie, wszędzie tego jak on rej wodziłem w krakowiaku i mazurze. A jak bywało utnę tampetę, allagrellę, lepietuchę lub koczerbichę, to aż się staruszki siedząc na kanapie biorą pod boki i w takt podrygują, taka ich brała ochota do szpryngłów i susów! A siłom moim nie było końca. Na ochocie nigdy nie zbywało, bo młodość tego jak on, młodość... to nie starość. Tańcząc bywało piszę jedną nogą Józef a drugą Lipski, lub cyfrę bogdanki mojej... Świeć panie nad jej duszą, bo już od sześćdziesięciu lat w grobie.

Nazajutrz rano p. Gussek i ja puściliśmy się drogą na Białą Ruś. Ostatnie słowa czcigodnego hr. Narcyza do mnie były następne:

— Pamiętaj kochanku, com ci radził i czyń według tego. Nie zapominaj o Bogu i znoś cierpliwie przewrotności losu, bo *nemo sapiens*, *nisi patiens*.

Poczem ucałował mię, pobłogosławił i rzekł ze wzruszeniem:

— *Deus te benedicat*, *ducat et reducat! Amen!*

Jużem go nigdy więcej nie widział. Wkrótce potem umarł. *Terra sit ei levis!*

PITAGORAS,

USTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

DR. WŁADYSŁAW DAISENBERG.

(Ciąg dalszy).

Niezmierną doniosłość i wagę tego przepisu prawnego zrozumie łatwo każdy, ktoby na chwilę chciał się zastanowić nad owoczesnem politycznem położeniem helleńskich miast a zwłaszcza Aten. Za Solona rząd ateński był oligarchiczny; ponieważ w wielu bardzo miejscach despoci poobalali rządy oligarchów, więc Solonowi rozchodziło się głównie o to, aby przyszłemu despocie przyjście do władzy utrudnić, a to utrudnienie nie mogło być większem, jak właśnie przez wprowadzenie w mowic będącego prawa Solona, gdyż wszyscy prawie Helleni rządów despoty nienawidzili, jeżeli więc koniecznie po stronie jednego z stronnictw walczących stawać musieli, aby uniknąć sromotnych następstw politycznej apatyi, nie ulegało wątpliwości, że w niezmiernej większości stanęliby po stronie oligarchów, a zresztą w każdym razie, w razie np. wywiązania się wojen domowych, jeżeli każdy obywatel od razu po stronie jednego z stronnictw stawał, można było o wiele rychlejszego zakończenia wojny spodziewać się, a nikt także nie mając nadziei, że większość obywatelstwa po jego stronie stanie, a wiedząc, że kto nie jest za nim, obojętnym nie pozostanie lecz przeciw niemu będzie, nie wywoływałby wewnątrz kraju wstrząśnień i niepotrzebnego krwi bratniej rozlewu.

Po wydaniu tych praw i publicznem ich ogłoszeniu

przez Solona, przysięgli Ateńczycy, że ich przez dziesięć lat nie zmienią (*Her. I 29*), poczem Solon udał się w podróż, naprzód do Egiptu (*Her. I 30*). O losach Attyki po wyjeździe Solona nie mamy żadnych wiadomości, dowiadujemy się tylko, że powróciwszy do Aten zastał Solon spory i nieporozumienia nowe między bogatymi i biedniejszymi obywatelami; nad stronnictwem bogatszych przewodzili Lykurg i Megakles, zaś biedniejszych stronnictwo skupiło się około Pejzistrata, który stojąc po stronie uciśnionych umiał się zrobić popularnym. Solon przeniknął na wskróś Pejzistrata, przyszedł do przekonania, że onemu głównie rozchodzi się o pozostanie despotą ateńskim i czynił mu stosowne przedstawienia, a gdy to nie skutkowało występywał publicznie przeciw niemu, lecz tym razem nie udało mu się ludu oszołomionego popularnością Pejzistrata na prawdziwą naprowadzić drogę, ostatecznie Pejzistrat został tyranem ateńskim, a Solon dopiero wówczas wyrzekłszy: „zrobiłem swoją powinność“ zaprzestał dalszego oporu, lecz mimo nalegań nie opuścił swej ojczyzny, jak to wszyscy przeciwnicy Pejzistrata uczynili. W jednym z ułomków poezyi pozostałych po Solonie jest ustęp odnoszący się do ludu ateńskiego znoszącego ucisk Pejzistrata, powiada tam Solon: „jeżeli znosicie troski z przyczyny nikczemności waszej duszy, nie wińcie o to Bogów, sami zdaliście władzę i panowanie w ręce tych ludzi i sami oddaliście się w niewolę;“ w innym zaś ułomku mówi Solon o sobie, że przyjaciele jego uważali go za „waryata,“ iż miawszy władzę dyktatorską po wydaniu praw zdał ją napowrót w ręce obywatelstwa attyckiego; dla nas jednak ten czyn Solona stanowi dowód jego wielkości, nietylko jako mędrca, lecz zarazem i jako człowieka. Solon był także wielkim, głównie dydaktycznym poetą, a że go zajmowało wszystko, co było wielkiem, szlachetnem i ducha ludzkiego podnoszącem, dowiódł tem, że wyznaczył nagrody pięciuset i stu drachm dla zwycięzców podczas igrzysk olimpijskich i istmijskich—sumy olbrzymie jeżeli zważymy, że n. p. za zgwałcenie wolnej obywatelki wyznaczono karę tylko stu drachm. Po śmierci Solona rozsypano prochy jego po Salaminie, jako „adopcyjnej ojczyźnie“ jego.

Niejednokrotnie usiłowano wykazać różnicę zachodzącą między ustawodawstwem Solona a ustawodawstwem Lykurga. Schiller (*l. c. t. II str. 1218*) słusznie powiada, że charakter narodu całego jest najodpowiedniejszym probierzem i najsprawiedliwszym sędzią wyrokować mającym o ich wartości. Spartaninowi zbywało tak na rozumie jak i na sercu, był on pysznym, podstępnym, okrutnym, fałszywym, niesumiennym i zdradliwym, podczas gdy znów Ateńczyk był łagodnym, grzecznym, uprzejmym, ludzkim i gościnnym, lubiał on wprawdzie wygodę, a poniekąd był i zniewieściałym, lecz kochał ojczyznę swoją a walczył jak lew, gdzie tego potrzeba było; chociaż ustrojony w purpurę i pachnidłami namaszczony umiał stawić opór Kserksesowym milionom a nawet i bitnym Spartanom, był on zwolennikiem zastawnych stołów, ale zarazem nienawidził obżarstwa i nierządu, w szczęściu był Ateńczyk wspaniałomyślnym, w nieszczęściu prawdziwie wielkim. Z swymi niewolnikami obchodził się po ludzku, i dozwalał niewolnikowi zaskarżyć pana, któryby się na nim dopuścił niesprawiedliwości, nawet i z zwierzętami domowemi obchodził się z litością. Dla Ateńczyka człowiek był celem a państwo było środkiem do celu, dla Spartanina państwo było celem, a człowiek tylko środkiem do celu, Ateńskie prawa były też tylko wolno popuszczonemi lejcami, mającemi stanowić granice, w których obrębie wolna wola człowieka urzeczywistniać się mogła, spartańskie zaś prawa były żelaznymi łańcuchami, krępującymi wolną wolę człowieka li tylko ku pożytkowi całego państwa, bez względu na duchowe potrzeby jednostki. Dlatego też w Atenach spotykałeś cnoty wszelkiego rodzaju, kwitły wszystkie rzemiosła i sztuki a próżnowanie było prawnie wzbronionem; tylko w Atenach można znaleźć Sokratesa, Tukidydesa, Sofoklesa i Platona, w Sparcie zaś mogłeś dopatrzyć się tylko dzielnych żołnierzy, ale żadnych poetów, żadnych artystów, żadnych myślicieli, a co najgorsze, żadnych wielkich ludzi. To też Schiller (w wspomnionej rozprawie) zupełnie trafnie powiada, że Solona otaczają wolność i przyjemność, pilność i dostatek, wszystkie sztuki i cnoty, wszystkie gracye i muzy, spozierają z wdzięcznością na niego i nazywają go ojcem i twórcą, gdy tymczasem w otoczeniu Lykurga nic innego nie poznasz, jak tylko z jednej strony tyranię, a z drugiej strony niewolę straszliwą, od czasu do czasu wstrząsającą łańcuchami, w które jest okowaną i przeklinającą sprawę twej nędzy. Ateńczycy mieli niezawodnie swe wady, niejednokrotnie okazali się niewdzięcznymi dla swoich największych ludzi, a okrutnymi dla zwyciężonych wrogów, dla sąsiadów i sprzymierzeńców prawie nie do zniesienia dumnymi i lekce ich sobie ważącymi i w ogóle lekkomyślnymi, dlaczego Aristofanes nazywa ich rozumnymi starcami w domu a błaznami na publicznych zgromadzeniach, lecz o to wszystko Solona winić nie można, gdyż było to wypływem późniejszego życia politycznego Aten, które na innem już miejscu bliżej kiedyś skreślimy.

OSTATNIE SŁOWO.

Nie znalazłszy już miejsca na przeznaczone do dzisiejszego numeru: „*Plotki*“ wyjmujemy z nich tylko zakończenie, którem się *Arodaz* żegna ze swemi czytelniczkami:

„W tym tonie i na ten temat, rozdąsany, byłbym pisał Bóg wie jak długo, gdyby nie udzielona mi przez głównego redaktora *Świtu* w tej chwili wiadomość, że numer dzisiejszy naszego pisma jest o s t a t n i m... Smutny to wyraz „ostatni“ i dziwnie żałośnie brzmią w nim dźwięki pożegnania... Smutno jest umierać młodym!... A młodym był *Świt*. Młodym z wieku, bo nawet roku jeszcze exystencyi nie liczy, młodym z gorącej chęci służenia dobrej sprawie i krajowi... Nie starym był również i wasz kronikarz w *Świcie*... Wszyscyśmy roili sobie nadzieje, że długo jeszcze dla młodych pokoleń i płci pięknej pracować będziemy... Nieubłagany los pismo nasze skazuje na śmierć... a raczej nie los— lecz panująca u nas obojętność dla wszystkiego co w literaturze nie jest drażniącą nerwy powieścią, kryminalnym procesem, lub ulicznym skandalem...

„Ale nie chcemy dalej narzekać... Przegrawszy w „walce o byt,“ nie chcemy się narazić na to, aby nam jeszcze zarzucano, że może własną naszą niezręczność na karb społeczeństwa zwalić pragniemy...

„Kto pokonany, odejść ma w ciszy i pokorze, nawet wtedy, gdy mu zaświadczy sumienie, że walczył mężnie i uczciwie... Tłumaczyć mu się nie wolno... *Vae victis*!

„Wy jednak, dobre Panie! nie żałujcie nam życzliwego westchnienia... Wasze względy były zawsze u nas w cenie wysokiej.“

„Żegnamy was!“ *Arodaz.*

SPIS RZECZY.

Właściciel i wydawca: Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.